

POLSKA POEZJA MARYJNA ANTOLOGIA od XV w. do czasów obecnych układ Tomasz Jodełki Stron 385 z ilustracjami Niepokalanów, 1949. Cena 9/-, z przesyłką 9/6. KATOL. OSRODEK WYD. „VERITAS” 12, Praed Mews, London W. 2.

ZYCIE KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

APTEKA GRABOWSKIEGO 187, DRAYCOTT AVE, LONDON, S.W.3. Tel. KEN 6583. wysyła wszelkie lekarstwa do Polski Najtaniej jest wysyłać P.A.S. w proszku a nie w tabletkach 500 gr. kosztuje tylko £.3.0.0. 500 tab. P.A.S. £.1.15.0. 3 miliony j: PENICYLINA — £.1. 3.6

JERZY BERNANOS PORANA NA ŚWIĘTOŚĆ

PRZYCHODZI mi na myśl pamiętne zdanie z poematu Eluarda „Guernica”: „Śmierć taka trudna... a taka łatwa. Można by to równie dobrze powiedzieć o świętości... Wydaje się nam ona straszliwie trudna, może po prostu dlatego, że nie wiemy, co to jest świętość, że nigdy nie zadajemy sobie poważnie tego pytania. Zupełnie tak jak dzieci, gdy mówią o dorosłych. Nie wiedzą, co o nich myśleć, nie ośmielają się wiedzieć, wystarcza im zabawa „w pana i w panią”. Później, krok za krokiem, poprzez taką zabawę w dorosłych, same się z kolei stają dorosłymi. Może to nienajgorszy sposób? Może, bawiąc się w świętych, moglibyśmy się nimi stać w końcu? W każdym razie Siostrzyczka Teresa nie inaczej się chyba do tego zabrała; można by rzec, że się stała świętą bawiąc się w świętych z Dzieciątkiem Jezus. Tak jak chłopiec, puszczać w ruch mechanizm pociągów-zabawki, wyraża, niemal o tym nie myśląc, na inżyniera kolejowego czy wprost na zawiadowcę stacji... Niech mi będzie wolno zatrzymać się na chwilę na tym „kolejowym” porównaniu. Nie jest ono tak niemądre, jak by się zdawało. Doskonale można sobie wyobrazić Kościół jako wielkie przedsiębiorstwo transportowe, transportujące do nieba... Czemu nie? — Proszę powiedzieć, czy daleko byśmy zjechali bez świętych, którzy kierują ruchem? Zapewne, w ciągu dwóch tysięcy lat towarzyszyło to musieło mieć niejedną katastrofę na swym koncie: arizantizm, nestorianizm, wielką schizmę wschodnią, Lutra... że wymienimy tylko osławione wykołębienia. Ale można zaręczyć, że gdyby nie święci, chrześcijaństwo byłoby dziś tylko olbrzymim rumowiskiem wywrotnych lokomotyw, spalonych wagonów, pogiętych szyn i żelaznych rdzewiejących na deszczu. Od dawna żaden pociąg by nie kursował po torach porośniętych zielskiem. Wiem, może ktoś powie, że przyczyną samych świętych byłoby z pewnością przynajmniej jedno z tych rozumowań, którymi staramy się raczej uspokoić niż przekonać. Tak jak jest, nie możemy widzieć w tym, że jestem chrześcijaninem, większej chęci niżli w poprawnym wiadaniu ojczystym językiem. Jakżeż więc mi miał być poważnie i do głębi związany uczuciem z kimś, co aby się nauczyć tego języka, musi z bólem zapamiętać ojczystego, którym się dotąd zawsze posługiwał? Niech mi wydadzą czytający te słowa chrześcijanie, ale jeśli wśród moich czytelników jest choćby jeden człowiek obcy naszej wierze, do niego wytężyłem chęć przemówić w tej chwili. Spionąłbym ze wstydu, gdyby miał sobie pomyśleć, że oto jak z bezpiecznego ciepłego głębiska zwracam się do niego z głębi niezachwianej pewności, jaką daje wiara... że obce mi jest jego język... Nie, to nieprawda, że wiara — to pewność, bezpieczeństwo, spokój... przynajmniej w ludzkim rozumieniu tych słów. Wiadomo, chodzi o światło wiary, miernych chrześcijan, którym do szczęścia wystarczyło robienie sobie złudzeń na temat nieba, którzy się czują pewni łaski Bożej i którzy na rachunek religijny zapisują to zaдовоłnienie z samego siebie, jakie jest wspólną cechą wszystkich głupców, wierzących i nie wierzących. Wiary religijnej nie można w żaden sposób porównać do przekonania o rzeczywistości takich twierdzeń jak „dwa razy dwa jest cztery”. Rozumiem doskonale znie-

cierpliwie lub nawet oburzenie, z jakim niewierzący spoglądają na ludzi, którym niesłusznie przypisują tego rodzaju pewność w sprawie świata niewidzialnego, śmierci i życia pozagrobowego. Czasem gniew czy oburzenie ustępują żalności: „Nie ma to jak wierzyć! Ja niestety nie potrafię” — ten i ów powiada z rozbrajającą naiwnością. Niejeden naprawdę pragnąłby wierzyć, wysła się, by uwierzyć, że już wierzy — i ku swemu zdumieniu nie dochodzi do niczego, nieczymś ktoś cierpiący na bezsensność, kto mówi sobie uparcie: „chcę spać” i właśnie dlatego nie może zasnąć, bo sen jest zawsze niespodziany. Kto czeka na jego przyjsię, nigdy się go nie doczeka, gdyż przychodzi on niespostrzeżenie. Spotyka się ludzi, którzy jakną wiary, wysyłają się, by wierzyć, męczą się, by uwierzyć, że wierzą, a przy tym nie bardzo wierzą, w co my właściwie wierzymy. Do pierwszej z brzegu zadziwiającej przynajmniej opisaną w Biblii są skłonił przywiązanie taką samą wagę jak do tajemnicy Wcielonego Słowa, mogli się, aby uwierzyć, że Jonaż był parę dni lokatorem przestronnego wieloryba, że przeżył przez Morze Czerwone wyglądało przez czyste jak jak na znanej rycinie, gdzie widzimy Izraelitów kroczących między dwiema płynnymi ścianami i ryby, podziwiający ten widok, jak się z okna ogląda karambawo paradę. Nieestety wielu, zbyt wielu pobożnych ludzi nadużywa tu dobrej wiary niedowiarków, i to — nie tylko przez swą ignorancję czy ograniczoną, ale i przez głupią próżność, która niejednemu wierzącemu prowadzi do zachłystywania się własną wiarą. Wspomniałem przed chwilą nawrócenie literackiej celuży w tych przechwałkach, z których przeziiera wyśmia. Nie ulega wątpliwości, że niewierzący może obwołanie przyląknąć nasze wyznawanie wiary w wielkie tajemnice religii, niezrozumiałe dlań i nie przemawiające zbytnio do jego wyobraźni. Jeśli natomiast zapewnił go bez śladu wahania, że prawo ciężenia zostało zawieszono po to, by zegarek Jozuego mógł się spóźnić o godzinę — pukając się w czoło uznać że zapewne za wariata, niejednemu jednak staniesz się dla niego „ciekawym typem”, niebawym okazem, fenomenem. A jednak, mówcie sobie co tam chcecie, faktem jest, że chrześcijanin nie jest wcale obwołany w historii Jonaży czy Jozuego. Jeśli o mnie chodził wierzylibyśmy nie chętnie, z przyjemnością; cuda jednak nie interesują mnie o tyle, że nigdy nie nawróciłby one wielu... Pan nasz zaczął to samo powiedzieć w Ewangeliu, drwiąc z tych, co domagali się od Niego „znaków”. Nazbyt często cuda rozpalają umysł, ale mroźna serce, galąz robią wrażenie jakby brutalnej interwencji, jakby gwałtu zadanego rozumowi i sumieniu przez fakt który przynajmniej na pozór stanowi naruszenie porządku. Nie chciałbym się dłużej nad tym rozpowiadać, ale trzeba mi myśleć nie tylko o czytelnikach niewierzących, którzy może w tej chwili mówią sobie nie bez zadowolenia, że oto puchem dewotki dostały z lekka obuchem po głowie. Tym znacznym duszom należy się przecieć coś, co by rozwał ich niepokój, jeżeli im moje żartobliwe uwagi pachną herezją. Polecam im gorąco, by sobie odświeżyli w pamięci „Historie świętą” Daniela Ropsa, wydaną ostatnim laty z „Nil obstat” i „Imprimatur” arcybiskupa paryskiego. Zobaczą tam na przykład, że są powody, dla których dźwięk trąb jerychońskich można uważać za umówiony sygnał dla saperów, aby wyszli z okopów podpalwysz drewniane rusztowania, co miało spowodować zawałenie się murów, taka bowiem była technika saperów w owych czasach z braku materiałów wybuchowych. A w sprawie przejścia Jordanu suchą nogą przez wojsko Jozuego pod miastem Adom, przeczytałyby następująco: Adom, to prawdopodobnie dzisiejsze El-Damieh — o 25 kilometrów w górę Jordanu od Jerycho. W miejscu tym rzeka płynęła pomiędzy stromymi brzegami, wysokości 15 metrów, z łatwo osy-

pującej się glinki. W 1927 r. skutkiem lekkiego trzęsienia ziemi brzegi się osunęły i zatarasowały łożysko tego stopnia, że bieg rzeki został wstrzymany na dwadzieścia jeden godzin; powróty się więc okoliczności opisane w Biblii, która również o trzęsieniu ziemi mówi w barwnej mowie Wschodu: góry skoczyły jak barany, pagórki jak jagnięta. Przypominam, że książka Daniel-Ropsa zaopatrzona jest w „Imprimatur”. Powtarzam, że się zupełnie nie pasjonuję tymi zagadnieniami. Zgodziłbym się chętnie, że żyłby przesił suchą nogą nie tylko przez Morze Czerwone, ale i Ocean Atlantycki, coż mi to szkodzi? Powiadam tylko, że w niezmiernym żalem myślę o tym, ilu ludziom dobrej woli bezpodstawnie i urojone skrupuły nie pozwalają się zbliżyć do Chrystusa. Gdyby Bóg chciał nas Sobie pozyskać za pomocą cudów, na pewno by się nie ograniczył do cudu w Karle Gallejskiej czy nawet do wskrzeszenia Lazara. Nie by Go nie kosztowało narzucić się naszej wyobraźni za pomocą dźwięków niezwykłych kosmicznych. Zjawiska towarzyszące śmierci Zbawiciela, o których opowiadają nam Ewangeliści: ciemność ogarniająca ziemię, rozdzieranie się ognia kościelnej, drżenie ziemi — to nie wielkiego w porównaniu ze skutkami bomby rzuconej na Hiroszimę. Ale idźmy dalej, zastanówmy się jeszcze trochę. Dlaczego nas odpychają przed naginanie naszej woli za pomocą cudów? Jak przynuszać to przynuszać — o wiecie przecież byłoby nigdy nas nie utracić, lecz dostosować raz na zawsze wolę ludzką do woli Bożej, jak planetę krążącą dookoła słońca. Tego właśnie Bóg nie chciał — pozabawić nas odpowiedzialności czyli zdolności miłowania, bo nie ma odpowiedzialności bez wolności, a miłość jest albo sprawą swobodnego wyboru, albo nie ma jej wcale. Materialistyczna teoria świata nie potrafi wyjaśnić człowieka jako istoty moralnej. Ale żeby uczciwie istnienie świętych, nie wystarczyłoby wysiłkiem wyobraźni postawić na czele i u podstaw świata jakiś Byt Najwyższy, jakiś Najwyższy Rozum, jakiegoś Boga geometrii. Im dłużej się patrzy na wszechświat, tym trudniej mi myśleć, że ten zegar chodził bez zegarmistrza — tak mniej więcej wyraził się Wolter. Aforyzm idiotyczny a jednak napełnił on błogim spokojem liczne pokolenia kanoników z dumą stwierdzających, że od tej pory Pan Bóg istnieje! w przywołaniu pana de Voltaire, sześciu wieków i cieszących się ze znakomitości kawału, jaki Pan Bóg zrobił swemu osobistemu wrogowi (na pohybel infamias!) wykorzystując chwilę nieuwagi pana de Voltaire, by mu podsunąć do podpisu papierek ze słowami uznania... Niestety, pisząc ten wierszyk pan de Voltaire nie troszczył się zupełnie o świętych, tak jak, być może, niewiele więcej uwagi poświęcił im kanonicy cytując nagrodę niemi w czasie rozdawania nagród pilsności... No bo proszę powiedzieć, po kiego diabła — to słowo samo się proszi! — zegarmistrzowi święcie? Zegar jest zaprzeczeniem wolności: wszystkie jego kółka są najszczelniej zależne jedne od drugich. Odpowiedź zapewne, że wszechświat fizyczny daje dość przykładów precyzyjnej mechaniki. Może jednak bierzcie pozory za rzeczywistość, podobnie jak istota o inteligencji zupełnie różnej od naszej, nie mająca pojęcia o mowie i piśmie, mogłaby się zachwycać rytmem głosu i symetrią zadrukowanej strony, mogłaby się doszukiwać praw rządzących tymi zjawiskami, nie wiedząc nic o ich istocie, o tym, co jedynie ważne — o myśli, myśli wiecznej żywej i wolnej pod pozornym przyrządkiem liter i dźwięków ją wyrażających? Może życie jest tak wolną myślą świata na pozór zdeteminowanego? Życie, czyli ta tajemnicza niematerialna energia, do której fizyka nowoczesna sprowadza samą materię.

Człowiek jako istota moralna nie ma nic do roboty we wszechświecie materialistycznym. Wszczęstwał dęstów, w stylu autora „Henriady”, nie przewiduje świętych. Święty

byłby tam równie nie na miejscu jak poeta liryczny na wydziale budowy dróg i mostów. Dla nas, chrześcijan, Bóg jest miłością, stworzenie jest aktem miłości. Wiem, że myślicie teraz o tym języku powszechnego cierpienia, które nie milknie ani na chwilę. Ze przychodzą wam na myśl słowa Baudelaire'a: Car c'est vraiment, Seigneur, le meilleur témoignage Que nous puissions donner de notre dignité Que cet ardent sanglot qui roule d'âge en âge Et vient mourir au bord de votre éternité.\*) Musimy sobie uprzytomnić, że oskarżając okrucieństwo tego świata, robimy to w imieniu Rozumu i Sprawiedliwości. Długie doświadczenie uczy, że po tej drodze możemy dojść tylko do buntu, rozpacz, że zostaliśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Boga. Jesteśmy bardzo podobni do Boga niż śmiemy sądzić i niż pozwalają nam przy puszczać filozofowie. „Stworzony na obraz i podobieństwo Boga” — ileż tajemniczy i przejmujący sły jest w tym określeniu, ale jakżeż się ono zużyło, jak stopniowo traciło swe znaczenie, zatarte dziś jak wizerunek na monetę, która przeszła przez zbyt wiele rąk! Pomyślmy jednak nad tym przez chwilę: Ilu z nas, chrześcijan, ma naprawdę świadomość tego, że istniejemy na obraz i podobieństwo Boga? Kto z nas zaprzęta sobie głowę rzeczywistym znaczeniem tych zdumiewających słów? Jeśli mówią one prawdę, to nie obserwacja tego, co nas otacza, może nam odkryć sens świata; tego tajemnicza jest w nas, w najgłębszym wnętrzu nas samych, tam, dokąd, najwidoczniej, nigdy nie schodzimy. Wiem, że z takiej hipotezy uśmieją się głupcy. Ale przyszłowiowa pewność głupców pochodzi właśnie stąd, że są oni stworzeni do życia w świecie dwuwymiarowym, że trzeci wymiar znają tak jak my czwarty — ze systema. Klucz do zagadki — w nas samych, a dia czegoż by nie? Czyż to nie zwykły los człowieka: szukać bardzo daleko i nieraz z narażeniem życia — tego, co się ma na podórędku, nie o tym nie wiedząc? Nie spodziewamy się klucza do zagadki znaleźć otaczając eksperymentalnym badaniem potężnych nas rzeczy i zjawisk. W tym poszukiwaniu wiedza nie współpracuje jednak z przyrodą. Wiedza stawia jej czoło. Dąży ona tylko do wyciągnięcia jak największych korzyści z ogromnych zasobów kosmicznej energii — przedsięwzięcie, które dla ludzkości musi się skończyć zmiażdżeniem między kłopotem wiedzy technicznej a kłopotem natury (bo jeśli w ogóle ciało człowieka jest krusze, to samo odnosi się tym bardziej do jego systemu nerwowego), musi doprowadzić wcześniej lub później do zahamowania się pod nieustannie rosnącym naciskiem życia, którego normalna aktywność zwielokrotniają, ustokrotniają maszynę. Mechanizacja da wam więcej wolnego czasu — podaje się do wierznięcia idiotom. Nie dość powiedzieć, że ludzie mają coraz mniej czasu, w miarę jak się mnożą maszyny. W zmechanizowanym rału, gdy rozrywki staną się bardziej wyzerpucyjne od pracy, praca będzie wykończaniem po rozrywkach. Mniejsza o to! Gdy mówię, że ten cały wysiłek intelektu doprowadza jedynie do coraz głębszego wciągania ludzkości w przedświecie, którego ryzyko wzrastać będzie stale, aż stanie się niewspolmierne do eskontowanych zysków (czyż nie dośladzimy już do tego, że jak to powiedział niedawno Einstein, przy wykonywaniu eksplozji naszej planety czy zatrucie atmosfery promieniami śmierci?) — nie wynika z tego bynajmniej, bym gardził intelektem. Skoro jesteśmy stworzeni na obraz Boga, jakże byśmy mogli gardzić jedną z najwyższych władz duszy ludzkiej? Odpowiedź

na to, że niby to nią nie gardząc, dopiero co uznaliśmy ją za bezsilną. Nie podobnego. Nie — bezsilną. Nie — bezsilną w użytkowaniu stworzenia, lecz — niezłodną do zgłębienia jego sensu, do objęcia go zrozumieniem. Gdyby stworzenie było jedynie dziełem intelektu, intelekt ludzki mógłby dojść do czegoś więcej niż do praw przyrody, odkrywanych po to, by tę wiedzę wykorzystywać, by posługiwać się przyrodą jak maszyną. Nie byłby tak skory do potępienia w imię logiki czy sprawiedliwości. Stworzenie jest jednak dziełem miłości. Intelekt zdany na własne siły umie się dopatrzyć w przyrodzie tylko obobjętność i okrucieństwa, nie wiedząc, że to swe własne okrucieństwo w niej odkrywa. Ścisłe mówiąc, potępiła on nie cierpienie, lecz jego rzekome anomalie, jego maotratną bezcelowość — złą organizację cierpienia. Intelekt jest okrutniejszy od przyrody. Zaczynamy już na przykład rozumieć, że społeczeństwo zorganizowane przez intelekt — albo przynajmniej przez tego zdegradowaną postać, którą nazywamy techniką — będzie bez litości nie tylko dla elementów podejranych o to, że więcej spożywały niż wytwarzają, ale — dla każdego, kto nie będzie myślał zgodnie z potworną świadomością zbiorową... Nie mówny już nawet o ułomnych i niedorozwiniętych. Milionem takich istot przyroda pozwala żyć, ale jutro nie wykną się one na pewno technikom, którzy zadaniem będzie utrzymać i nieustannie zwiększać wyprodukowaną kolosalną wszechświatową fabrykę. Intelekt nie burzy się przeciw cierpieniu, on je odrzuca, tak jak odrzuca źle zbudowany sylogizm — chyba, że chce się cierpieniem posłużyć według swych własnych metod, doprowadzając sylogizm do porządku. Kto mówi o cierpieniu jako o okrutnym gwałcie zadanym duszy lub choćby jako o najoczniejszym absurdzie, może być pewien poklasku głupców. Ale na każdego z garstki szczerych rebeliantów, iluż przypada tych, co w buncie przeciw cierpieniu szukają tylko mniej lub bardziej obłudnego usprawiedliwienia swej obobjętności i swego egoizmu w stosunku do cierpiących? Inaczej, jakim cudem się to dzieje, że właśnie ci ludzie, którzy niepokój dla siebie, gorszący fakt nieustannego cierpienia i nędzy przyjmują z największą pokorą — z reguły najkilkwiej się poświęcają dla cierpiących i nędzarzy? św. Franciszek z Asyżu, św. Wincenty z Paulo. Najbardziej gorszącym zjawiskiem we wszechświecie to nie jest cierpienie, lecz — wolność. Bóg stworzył nas wolnymi, oto skandal na skandalami, gdyż z niego wynikać inne wypływały. Wiem, wiem, że zabrnaliśmy tu już głęboko w metafizykę. Cóż robić? Jeśli będąc że się zrozumiały to tylko dlatego, że nie możemy wysłowić niejasno. Cóż zresztą z wyjaśnienia? W tej chwili gdzieś na świecie, może w mroku osamotnionej kościoła, może w domu, może na zakręcie pustego gościnka — jakiś biedaczyna składa ręce i z głębi swych nędzy, nie wiedząc dobrze, co mówi, albo zgłonia nic nie mówiąc, dziękując Panu Bogu, że go stworzył wolnym, to jest — zdolnym do miłowania. Oto gdzie indziej, nie wiem gdzie, matka nad trumną dziecka ofiarowuje Bogu jej bezsilnej rezignacji, jakby przed chwilą ów Goz, co rzucił słońca w przestrzeń, jak ręką rzuci ziarno w ziemię, ów Goz, przed którym truchleją światy — szepnął jej tkliwie: „Przebac. Kiedys poznasz, zrozumiesz, zbóżyś mi dzięki. Lecz teraz chęć od ciebie tylko przebaczenia. Przebac.” Oni, ta zgnana kobieta, ten biedaczyna, dotarli do sedna tajemicy, do istoty całego stworzenia, poznali sekret Boga. Jakże wam mówić o tym? Mowa jest na usługach intelektu. A co ci ludzie pojęli, pojęli to dzięki władzy wyższej od intelektu, choć bynajmniej nie pozwalającej z nim w sprzeczności, albo raczej — dzięki dogłębnemu poruszeniu duszy, nieodpartemu, obejmującemu wszystkie władze psychiczne równocześnie, sięgającym do głębi całego jestestwa. W tej chwili, kiedy ci ludzie pogodzili się ze swym losem, kiedy w pokorze

\*) „Bo to jest właśnie, Panie, najlepsze świadectwo naszej gotowości: ten szloch wzburzony, co się toczy w wieku w wiek, by zamrzeć u brzegu Twej wieczności.”



FILMY OSTATNIEGO MIESIĄCA

OD ROZRYWKI DO SZTUKI

W związku ze zmianą formatu, redaktorzy ZYCIA zaproponowali mi zastąpienie cotygodniowych przeglądów filmowych skondensowanymi felietonami miesięcznymi, omawiającymi wszystkie filmy, na których premiery byłem zaproszony w ciągu czterech tygodni, z uwzględnieniem pozycji wybitnych spoza zasięgu dystrybucji organizacji Ranka i wytwórni Warner Bros. Taką zmianą metody sprawozdawczej ma pewne wady — jak zmniejszenie aktualności — posiada jednak zasadniczą zaletę: zmusza do ważenia każdego słowa, do gruntownego przemyślenia obelżanych dzieł i starannego ustalenia ich w hierarchii wartości sztuki i kulturalnej (a czasem niekulturalnej) rozrywki. A oto pierwsza próba rozszerzenia dzisiejszej roli filmów na drabinię jednej recenzji. Będziemy szli po niej w górę — od filmów słabych do lepszych.

Obraz „Sirocco” wytwórni Columbia (Odeon, Marble Arch) kwalifikuje się za ledwie na pierwszy rzutek — chciało by się rzec, — leży po prostu na ziemi. Ani to rozrywka, ani sztuka. Oparty na powieści Kessela, film sęga do tematyki Bliskiego Wschodu. Akcję zlokalizowano w Damaszku w okresie rozruchów arabskich przeciw władzom francuskim. Bogatowi, aktorowi znanemu z przynależności do diwnej szkoły, która nakazuje grać każdą postać z kamienną twarzą, przypada tu rola czynnego, amoralnego Amerykanina, sprzedającego broni Stryczkowi, a tajemniczo wojskowemu Francuzowi, aby w międzyczasie odbić szefowi francuskiego wywiadu nad wyraz głupią przyjaciółkę i w końcu zginąć marnie od ręcznego granatu, rzuconego przez jedną z oszukiwanych (czy obsługiwanych?) stron wojujących. Akcja filmu jest równie zwalniająca jak bzdurnie nieprawdopodobna i to mimo pewnej wartości samej powieści Kessela, który uchodzi za dobrego pisarza. Mogąc z powodzeniem postawić problem etyczny lub choćby zainteresować widza niezwykłymi przygodami bohaterów — zaniechano pierwszej możliwości, a nie potrąfiono zrealizować drugiej. Tytuł obrazu jest równie fałszywy i bezsensowny jak treść i nieudolna forma: wiadomo, że gorący wiatr, wlejący w Syrii (który zresztą nie ma nic wspólnego z faubourg) nazywa się hamsin, a nie sirocco. Bezładna przyjaciółka francuskiego pułkownika (Lea J. Cobba) gra Marta Toren. Reżyser nazywa się C. Bernhard.

Innym przykładem źle zeszytego, rozkładającego się filmu, jest komedia amerykańska wytw. Universal International pt. „The Groom Wore Spurs” (Leicester Sq. Theatre) ze świetną aktorką Ginger Rogers i komikami Jack Carsonem. Nie pozbawiony momentów atrakcyjnych (polegających na wykpiwaniu aktora-specjalisty od ról kowbojskich, który nie umie jeździć konno), film ten — choć niegrany — nie posiada żadnej wrażliwości wewnętrznej. Robi wrażenie posiekanego ciała, kłopoty cząstki, rozrzucone w krajobrazie absurdu, podrygują — każda na swoją rękę — czasem zabawnie, czasem po prostu głupio. Rozrywka dla uboższych duchem — trochę lepsza od „Sirocco”, bo okraszona grą Ginger Rogers. Reżyserował niejaki Richard Whort.

Aniatorem filmów kryminalnych można zalecić następującą kolekcję pozycji: „Midnight Episode” (Odeon, Marble Arch). Jest to niezła brytyjska przeróbka francuskiej powieści i filmu G. Simenona pt. „Monsieur La Souris”. Akcję przeniesiono z Paryża do Londynu i rrefasowano na modłę angielską, rolę główną trampa-filozofa, zawiązanego w afere kryminalną — powierzając bardzo dobremu Stanley Holloway'owi. Zaletami tego obrazu są: swobodny humor reprezentowany głównie przez Hollowaya, półżartki, zarabiającego na życie recytacjami utworów Szekspira dla londyńczyków oczekujących w onogach na bilety kinowe — i poprawna gra aktorów. W rolach drugoplanowych mamy tu m. in. L. Dwyera, E. Tate, N. Parry. Wady: wolne tempo, sztuczność intrygi i zbyt daleko posunięte lekceważenie zmysłu prawdopodobieństwa. Reżyserował Gordon Parry.

Przechodząc do omówienia trzech następnych filmów, jestem w niejakim kłopotcie, gdyż z uwagi na lech różnorodność nie mam podstaw do wartościowania tych obrazów w jakiejś rozsądnej kolejności. Chodzi tu o „Call Me Mister” (Gaumont, Haymarket i Marble Arch Pavillon), „Follow the Sun” (Leicester Sq. Theatre) i „Tale of Five Cities” (Gaumont, Haymarket i Marble Arch Pavillon). Wspólnymi mianownikami tych pozycji są: rozrywka i pretensje.

Najmniej wygórowanych aspiracji wykazuje komedia muzyczna „Call Me Mister”, nawijająca do motywów wojskowych (końcowa faza ostatniej wojny z Japonią). Wymuska, pięknonoga i platynowłosa Betty Grable gra tu rolę

aktorki amerykańskiej czołówki teatralnej. Betty spotyka się w Japonii ze swym mężem — żołnierzem (świetny tancerz i śpiewak Dan Dailey), po czym przeżywa nową falę zagubionej przed laty miłości. Te banalna akcja sfilmonowa nienagannie w dobrym technicolorze, przepiękając ją bogato muzyką, tańcem, przeciętną muzyką jazzową i epizodami komicznymi. Poprawna reżyseria L. Bacona.

„Follow the Sun” — to film nie tyle chybiły, ile — z mego punktu widzenia — nie bardzo potrzebny, bo zbyt specjalny. Właściwym bohaterem obrazu jest golf, gra niezmiernie nudna i męcząca, dla nas Polaków zupełnie niedostępna. Zachodzi obawa, że „dzieło” to wywołuje serię monografi filmowych o krzykie, rugby i tp. specjalizacji sportowych. Ponieważ w Hollywood filmy podobne chodzą stadami, może pokazać nam jeszcze wdękarkstwo — wszak bije ono wszystkie rekordy nudy (czytaj: sportowej cierpliwości). „Follow the Sun” wieleb Ben Hogana, autentycznego zawodowego golfarza (Glenn Ford), który przed paru laty uległ wypadkowi iale potem — dzięki kolosalnej siłce woli, jak prezydent Roosevelt — wycyzł swe kończyny dolne i stał się znów championem, zresztą nie bez pomocy swej przeraźliwie wyrozumianej i jak sam golf nudnej małżonki (Anne Baxter). Trzeba przyznać, że zdejścia są dobre, miejscami doskonałe, a plenery i pasje sportową pokazano ciekawie. Kto ma nadzieję grać w golfa, albo pryncypalnie szaleje za sportem — może śmiało obejrzeć sobie to dzieło wytwórni 20th Century Fox, wyreżyserowane przez Sidney Lanfielda.

Nie radzę natomiast wydawać pieniędzy na „Opowieść o pięciu miastach”, zwłaszcza jeśli zainteresowany zna Paryż, Rzym, Wiedeń, Berlin i Londyn. Film to pu rytański, sterylizowany, pseudo-psychologiczny, kuszący kadnymi twarzyczkami aktorów różnych narodowości (L. Morris, B. Kelly, A. Vernon, E. Bartok i G. Lollobrigida) oraz grą i postacią Bonara Coleano (który jako oficer RAF-u ulega amnezji urazowej i potem „poszukuje samego siebie” odwiedzając przygodnie znajome w pięciu stolicach) — ale w rezultacie dający rozczarowanie. Przygodny B. Coleano są niezmiernie banalne, wyprane z miódziennej wery, którą widzimy tylko w sekwenacjach plajkacji. Usiłowano oddać atmosferę powojenną miast europejskich po wojnie, ale udało się to tylko częściowo. W sumie film ten, mający dobre założenie i pełen bogactw możliwości, nie wniósł się na poziom sztuki. Akuszerem poronienia był reżyser Montgomery Tully. Kliniką położniczą brytyjską wytwórnia o szumnej nazwie „Grand National Pictures Ltd.”

Film „Bonaventura” (Leicester Sq. Theatre) stawiam wysoko na drabinię wartości filmowych nie z tego powodu, że zajmuje się katolickim życiem klasztornym, ale że czyni to kompetentnie, z rzadkim — jak na Hollywood — umiarem i wczuciem się w atmosferę religijną. Oryginalny skrypt, podejmujący problematykę chrześcijańskiego współżycia i wiary w dobro w człowieku, zreczna reżyseria i wysoki poziom techniczny — kwalifikują „Bonaventurę” do klasy artystycznej rozrywki. Dzieło to jest przeróbką filmową sztuki Ch. Hastings; akcja rozgrywa się we wschodniej Anglii, której atmosferę i czysty język zostawił tym razem wniebnie oddane przez amerykańską wytwórnię Universal Int. Pictures Ltd i reżysera D. Sirka. Do szpitala katolickiego zgromadzenia zakonnego, przepełnionego ofiarami katastrofalnej powodzi, chroni się policjant eskortujący zbrodniarke, skazaną na śmierć za otrucie brata (b. dobra kreacja Ann Blyth). Siostra Maria Bonaventura (Claudette Colbert), wzór dobroci i przedsiębiorczości w pielnieniu dzieł miłosierdzia, zapoznaje się ze skazaną i nabiera przekonania o jej niewinności. Po woli przygodach i powikłaniach okazuje się, że instynkt nie zawiodł dobrej siostryzeczki — prawdziwy morderca, lekarz szpitalny (Robert Douglas) przyznaje się do winy i zostaje aresztowany. Matkę-przełożoną bezbiednie pod każdym względem zagrała Gladys Cooper, a sztyretyżowaną żonę lekarza Ann Crawford. Film nie bez usterek, ale ciekawy, miłoścom wzruszających i stanowczo godny wzruszenia „Payment on Demand” (wytwórnia R.K.O., Odeon, Leicester Sq.) w moim osobistym odczuciu zasługuje na cokolwiek wyższą notę od sympatycznej „Bonaventury”, choć jest dziełem nawkrosów świeckim. Film ten bowiem — acz nie wolny od mniejszych i większych błędów artystycznych — ma aure dzieła sztuki. Znakomita aktorka Bette Davis, która ostatnio zamiała większość gwiazd filmowych wspaniałą kreacją w „All About Eve” tchnęła w niezbyt oryginalną historię rozwodu i pogodzenia się starszych wiekiem, posiadających

dorose córki małżonków ożywcza siłę swego wielkiego talentu. Dzięki bardo ludzkiej, brylowatej, wszechstronnej, choć bynajmniej nie sentymentalnej interpretacji postaci głównej bohaterki, dramat rodzinny czworga ludzi stał się bliski widzowi. Jest to studium zle skierowanego życia inteligentnej kobiety, która z karłami męza — ubożego, początkującego adwokata — czyni sobie „hobby”, by po osiągnięciu powodzenia i dobrobytu przekazać się, że małżeństwo nie jest spólką handlową, obliczoną wyłącznie na materialny sukces. Film kończy się pojedaniem małżonków i zapowiedzią lepszego życia, oprómiennego nową wiedzą o własnych błędach wybaczeniem i wyrozumieniem. Niektórzy krytycy angielscy zaatakowali ten film, zarzucając Bette Davis zdradę ideałów sufrażystek, dążących do równouprawnienia kobiet. Trudno o ocenę petyzta i bardziej zafocana. Gdyby Mr Shulman — zresztą doskonały krytyk — przeżył coś nie coś z nowszej literatury naukowej (choćby niedawno wydana, wybitną pracę Oswalda Schwartza pt. „Psychology of Sex”), to nie miaby odważył identyfikować walki o prawa publiczne kobiet z beznadziejną i zawsze przegrana walka neurotycznych kobiet z własną naturą. Piękne postawienie problemu i zajęcie negatywnego stanowiska wobec niesuzytych uroszczeń niektórych niewiast do kierowania życiem męża i całej rodziny — to zalety męzkiego filmu „Payment of Demand”. Reżyserował go — nieco staramodnie, lecz poprawnie — Curtis Bernhardt.

Współgłazy się na szczyt fikcyjnej drabiny, na której rozstawił się — część pokazanych w ubiegłym miesiącu filmów, dochodzący wcale nie przypadkowo — do dzieła włoskiego realizmu kinematograficznego, do dramatu pt. „Donne senza Nome”. „Unwanted Women” (Berkeley). Jest to wybitne dzieło sztuki filmowej, podejmujące wstydlivy, kompromitujący naszą biurokratyczną cywilizację problem kobiet niepotrzebnych społeczeństwu, uznanych za niepotrzebne tylko dlatego, że nie posiadają paszportów lub innych dokumentów osobistych. Stoczone w wąskim obiegu koncentracyjnym i nawet całkiem po ludzku traktowane przez zakłopotanych swą niechwaloną rolę męzczyzn, kobiety różnych narodowości tkwią tam — dziś, w sześć lat po wojnie — wyrzucone poza mur życia bez celu, bez nadziei powrotu — niby tredowate, albo dzikie zwierzęta. Mamy tu całą galerię ciekawych typów: Jest Jusosiovanca (Valentina Cortese), która aresztowano po zastrzeleniu męża, gdy spodziewała się dziecka, które urodzi się w obzbie — pokryjomu, by było wolnym człowiekiem, — ale zapłaci za to własnym życiem; jest Francuska (Simone Simon), szuka jąca ucieczki poprzez ślub z antypatycznym maniakiem seksualnym; jest obłąkana Polka, którą hitlerowcy oddali w czasie wojny do oficerskiego domu publicznego, jest wreszcie jej przesiadłowczyni — niemiecka siostra szpitalna. To ona — jak wykrywała internowana kobiety — kwalifikowała nie szczęsną Janke Nowacką do domu rozpusty. Sceny sądu i ukarania hitlerowskiej zbrodniarki, którą siołdarne kobiety zmuszają do wypicia trucizny — należą do najświetniejszych w filmie. Kamera operatorka-artyści, kierowana przez artystę-reżysera (Gesa Radvanyi), patrzy na nielolą ludzką z dostateczną powściągliwością, aby widzowi dać możność wyrobienia sobie własnego sądu o pokazanych zdarzeniach. Chwilami jednak, ale zawsze przez usta bohaterów, w sposób dyskretny, szczerze i z mocą autentycznego przeżycia, — słowa, obrazy, sekwencje wnoszą: stają się protestem, potężnym „nie pozwałam”, rzuconym polityce i socjologii przez sztukę. Na upartejgo można znaleźć drobne słaźbny w szczegółach, ale całość dzieła jest wspaniałym przykładem integralnego zespolenia artystycznej ruchomej fotografii z czystym skryptem (literatura), z muzyką, śpiewem i tańcem (pokazano kilka epizodów z teatru amatorskiego internowanych kobiet). Wszystkie te elementy współzgrzmia silnie i pięknie, bo wiąże je myśl, kompozycja i — ponad wszystko — nie tani sentymentalizm, lecz miłość bliźniego do świadoma, siebie roztopna i aktywna. Objezienie filmu „Donne senza Nome” to więcej, niż dawać niż rozrywka: to przeżycie wzbogacające osobowość widza, budzące w nim czynność człowieka, które uśpia tak łatwo pod narzązką codziennych trosk, pod płaszczykiem frazesów i wyświechtanych banałów.

Na tym można by zakończyć mieszane sprawozdanie. Kusi mnie jednak zestawienie jednego w pełni artystycznego z omówionych tu filmów z innym wyświetlanym równocześnie, w ramach

Rzeczywistość w Sowietach

Skłzkie i reportaże o Rosji
Anders W. — Bez ostatniego rozdziału 20/-
Czapski J. — Na nieludzkiej ziemi 9/6
Gonczyński F. — Raj proletariacki 8/6
Grubiński F. — Między młotem a sierpem 9/6
Kraakowski A. — Książka o Kolymie 12/6
Rudka M. — W domu niewoli 3/6
Skrzypek S. — Kosja jaką widziałem 9/6
Umiastowski J. K. — Przez kraj niewoli 6/6
Do nabycia w Veritas F. P. Centre, 12, Praed Mews, London, W. 2.
Przy przesyłce doliczamy 6 d portu.

WŚRÓD KSIĄZEK I CZASOPISM

„Grupa 47”. W Bad Dürkheim, uzdrowisku położonym w Palatynie, odbył się ósmy z kolei zjazd Grupy 47, zrzeszającej kilkadziesiąt pisarzy, krytyków literackich, redaktorów i komentatorów radiowych. Grupa ta powstała w Monachium w lecie 1947 r.; jej przewodniczącym jest Hans Werner Richter.

Wielkie odkrycia naukowe naszej doby. Pt. „Profile of Science” ukazała się książka Ritchie Caldera (Allen and Unwin, cena 16 sh.), opisująca cztery „główne odkrycia naukowe naszego pokolenia” — jak autor je nazywa — mianowicie świat fizyki atomowej, radar, penicylinę i witaminy. Autor podkreśla, że wszystkie te odkrycia zostały zapoczątkowane i doprowadzone do konkretnych kształtów przez Brytyjczyków. Książka ma charakter popularyzatorski i pisana jest bardzo żywo.

„Invitation to Moscow” w wydaniu amerykańskim. Książka Zbigniewa Stypukowskiego „Invitation to Moscow” ukazała się już w Nowym Jorku w wydaniu amerykańskim, nakładem firmy Thames and Hudson.

W prasie angielskiej pojawiają się nadal obszernie omówienia tej książki. Ostatnie recenzje z niej ukazały się w „World Review”, „Economicist”, „Tablet” i „Truth”.

„Russian Research Center” w Ameryce. Wyrazem wzrastającego w Ameryce zainteresowania Rosją, z czym w darze idzie zwiększanie się wpływów emigracji rosyjskiej, jest utworzenie specjalnego „Russian Research Center” przy uniwersytecie Harvard. Osrodek ten hojnie wyposażony został przez fundację Carnegiego. Przystąpił on do akcji wydawniczej, której pierwszym wyrazem są dwa duże opracowania: „Soviet Politics — The Dilemma of Power” Barringtona Moore Jr. (cena w Londynie 40/-), oraz „Public Opinion in Soviet Russia” Alexa Inkelesa (cena 32/6). Pierwsza z tych książek zajmuje się głównie metodami, jakich musieli używać przywoźcy sowieccy, by utrwalił się w władzy w Rosji, i ich nieuniknionymi odchyleńiami od doktryny marksistow-

skiej. Jeśli chodzi o książkę Inkelesa, to z jej tytułu można by sądzić, że poświęcona jest przejawom opinii publicznej w państwie sowieckim. Jest to jednak wrażenie mylne: autor zajmuje się wyłącznie sposobami ugłaniania opinii publicznej przez władzów Kremla; a więc propagandą i agitacją, które w Rosji Sowieckiej prowadzone są niezmiernie systematycznie i umiejętnie przy zastosowaniu wszelkich „naukowych” metod z zakresu psychologii zbiorowej.

„Czystka” sowiecka i wymuszenie zeznań. Wróćcie po książkę Stypukowskiego „Invitation to Moscow”, która zdobyła takie uznanie wśród recenzentów brytyjskich, pojawiła się pt. „Russian Purge and the Extraction of Confession” (Hurst and Blackett, cena 10/6) druga książka, również zajmująca się zagadnieniem „zeznań” oskarżonych w procesach sowieckich. Jako autorzy jej podani są F. Beck i W. Godin. Są to pseudonimy „pierwszym autorów jest historyk sowiecki, drugim uczoły niemiecki; obaj padli ofiary słynnej „czystki” sowieckiej w latach 1936 — 39, zdołali jednak wyostać się cało z Rosji.

Recenzent „Times Literary Supplement” omawia książkę też łącznie z książką Stypukowskiego i podkreśla zbieżność relacji wszystkich trzech autorów, tam gdzie mówią o metodach śledztwa w więzieniach sowieckich.

O książce Stypukowskiego recenzent zauważa, że pisana jest bardzo żywo i że byłaby warta czytania nawet wtedy, gdyby zawierała tylko relację o stosunkach w Polsce pod okupacją niemiecką.

Potomek Cromwella o Conradzie Korzeniowskim. W serii bardzo dobrych broszur, poświęconych pisarzom brytyjskim, a wydawanych łącznie przez British Council i National Book League (ceba broszury 1 sh.), ukazała się rzecz o J. Conradzie. Autorem jej jest Oliver Warner, w prostej linii potomek XVII-wiecznego dyktatora Anglii, Olivera Cromwella. Z zadania swego wywiązał się umiejętnie; przy końcu broszury podaje obszerną bibliografię Conradianów, wymieniając też tłumaczenia i opracowania polskie. „Conrad — pisze Warner w zakończeniu — był u myślnym zachodnim, silnie nasyconym indywidualizmem latyńskim, z angielską świadomością zagadnień moralnych i z rzadkim u powieściopisarzy „poczuciem formy. Jeśli, co jest prawdopodobne, najlepsze z jego dzieł zachowują trwałą żywotność, to z pewnością właśnie z powodu tych cech charakterystycznych.”

SPROSTOWANIE

TU ES PETRUS

Do wiersza Jerzego Dojęgi-Koźmieskiego pod tym tytułem, umieszczonego w 25 nrze ZYCIA, ukazał się bład, za który Autora serdecznie przepraszamy.

Wiersz 7 od góry ma brzmieć: Rozumiesz, że w tej kropki krwiami się z e s o p l i.

KSIAZKI WLASNE I NADESŁANE

Marian Czuchnowski: POLA MI-NOWE. Oficyna Poetów i Malarzy. Okładka i rysunki Mariana Kosciakowskiego. Londyn, 1951. Stron 38, quarto. Odbito 200 egz. numerowanych. Pięknie, po bibliofilsku wydane dwa tomiki wierszy w głosnej Oficynie Poetów i Malarzy pod kierownictwem poety i młodsza sztuki Czesława Bednarzycy.

Marian Czuchnowski: TYFUS, TERAZ SŁOWIKI. Powieść. Modern Writing. Londyn, 1951. Stron 152. Ilustrowana barwna obwoluta.

Powieść oparta na przeżyciach w szpitalu sowieckim.

TRZY KSIĄZKI WACŁAWA GRUBINSKIEGO MIĘDZY MŁOTEM A SIERPEM Cena 9/6

O LITERATURZE I LITERATACH cena 4/6

LENIN cena 3/6

Skład główny: „VERITAS” F. P. C. 12, Praed Mews, London W. 2

Z A P I S K I LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

SREDNIOWIECZNE MISTERIA W YORKU

Najważniejszym, jak dotąd, wydarzeniem artystycznym Festiwalu Brytyjskiego na prowincji jest zwolnienie średniowiecznych misterów religijnych w Yorku, po raz ostatni granych w tym mieście w r. 1572. Na te ruiny benedyktyńskiego opactwa St. Mary's przedstawiono życie, mękę i zmartwychwstanie Chrystusa. Wśród 1600 widzów, na których, jak podkreślają wszystkie relacje, widowski zrobiło wielkie wrażenie, znajdował się premier Atlee i angielski arcybiskup Yorku. Niezależnie od tego zwolnienie misterów było nawijaniem do katolickich tradycji życia religijnego Anglii.

PERYPETIE

„NATIONAL THEATRE”

W zastępstwie króla Jerzego VI, któremu lekarze zalecili odpoczenie królowa położy w dniu 13 lipca kamień węgielny pod gmach National Theatre. Teatr ten zamierzano początkowo wzniesić w South Kensington, na placu na przeciw Victoria and Albert Museum, później wszakże na miejsce budowy wyznaczono południowy brzeg Tamizy, na terenie obecnej wystawy festiwalowej. Jak się zdaje jednak, budowa nie pójdzie szybko. Tempo jej z konieczności musi być zwolnione wobec przedstawienia budżetu brytyjskiego w kierunku zbrojeń. Poza tym powstał projekt, by obecna „South Bank Exhibition” przedłużyć na rok następny. W tym wypadku budowa teatru uległaby odwołu.

DWIE WYSTAWY

W KOLEJCE PODZIEMNEJ Na stacji kolejki podziemnej Hyde Park Corner odbywa się w ramach festiwalu nieduża wystawa Royal College of Art. Wystawionych jest kilka witraży bardzo wysokiej klasy artystycznej, oraz parę rzeźb.

W pasażu stacji South Kensington wystawione są plakaty londyńskiego „Underground” z okresu 1908 — 1951. Obie wystawy czynne są do późnego wieczora, przez cały czas funkcjonowania kolejki podziemnej.

DRUIDZI W STONEHENGE

Mają komu wiadomo, że po dziś dzień istnieje w Anglii „Zakon Druidów”. („Ancient Order of Druids”), który pielęgnuje tradycje dawnych kapłanów celtyckich. W Noc świętojańska członkowie tego zakonu gromadzą się w białych szatach na uroczysku w Stonehenge koło Salisbury i w kole utworzonym przez wielkie stojące głazy, odprawiają swe rytuały, niewiadomo zresztą, czy wiele mające wspólnego z obrzędami dawnych druidów.

Uroczysko w Stonehenge powstano na długie wieki przed pojawieniem się Celtów w Wielkiej Brytanii. Wiek głazy obliczany jest na około 3500 lat i pod tym względem stanowi on jeden z najciekawszych zabytków prehistorycznych w Europie. Wspomniane głazy — wszystkie ze specjalnego niebieskawo kamienia — przytransportowane zostały do Stonehenge z dośyć znacznej odległości, bo z Pembroke, co świadczy o technicznych udołnieniach ludu, który tego dokonał. Uroczysko było — jak się przypuszcza — miejscem kultu słoneca.

Celtowie przybyli do Anglii około tysiąca lat po powstaniu uroczyska, jest jednak rzeczą prawdopodobną, że ich kapłani używali go dla swych rytuałów.

Od bardzo dawnych czasów uroczysko wzbudzało zainteresowanie i podziw, o czym świadczą głosy różnych pisarzy, jeszcze od czasów średniowiecznych. Constable namalował obraz przedstawiający białe głazy Stonehenge na tle chmurnego nieba.

ZNOWU SPRAWA MASONERII

Jak donosiliśmy, Izba niższa Konwencji Kościoła Anglikańskiego postanowiła w dn. 24 maja nie podejmować dyskusji nad wnioskiem ustanowienia komisji, która by zbadała zagadnienia masonerii z punktu widzenia Kościoła.

Sprawa została jednak poruszona na nowo na obradującym obecnie Zgromadzeniu Kościelnym (Church Assembly) anglikanów. Mianowicie Rev. R. Creed Meredith, proboszcz Windsoru, zgłosił wniosek proponujący, by w związku z rozgłosem jakiegoś nabrał artykułu o masonerii, który ukazał się w miesięczniku „Theology”, a którego autorem jest Rev. Walton Hannah, powołał do życia komisję do zbadania twierdzeń, zawartych w tym artykule. Komisja ta powinna obejmować ekspertów z zakresu porównawczego religioznawstwa; miałaby ona orzec, czy w jej opinii cała sprawa nie powinna być skierowana do Izby Biskupiej Konwencji.

Jak zaznacza „Evening Standard”, Rev. Walton Hannah był swego czasu wikarym w parafii St. James's, Piccadilly, później pełnił obowiązki duchownego w kościele św. Tomasza przy Regent Street i kościele św. Anny w Soho, wreszcie był rektorem w Balcomb (Sussex). W r. 1947 zrezygnował z tego stanowiska.

# ZYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 8 lipca 1951

## NOWE PRAWO NARODÓW

**W** PRAWIE narodów istniały do niedawna tylko państwa. Poszczególnych osób nie brało się pod uwagę, lub tylko pośrednio, jako obywateli państwa. Pojedynczy człowiek nie mógł niczego żądać, ani niczego żalać. Żądało i żalało się za niego państwo.

Prawo narodów było prawem, określającym stosunek państwa do państwa. Za państwo w prawie narodów uważa się państwo suwerenne, które nie uznaje żadnej władzy nad sobą, które jest całkowicie swoim panem i mistrzem pod każdym względem.

Nie chce się kusić o definicję suwerenności. Przypomnę tylko to, co jest dla mnie istotne. O suwerenności mówimy wtedy, gdy mamy do czynienia z pełnią władzy, nie uznającej żadnej innej władzy nad sobą, na pewnym terenie.

Jak pogodzić pojęcie prawa narodów z pojęciem suwerenności? Prawo sankcjonowane, będące podstawą jakiegokolwiek porządku prawnego, jest nie do pomysłienia między państwami suwerennymi. Prawo narodów suwerenności ma w sobie pierwiastek sprzeczności, negację samego siebie. Jeżeli państwa mają być suwerenne, prawo narodów musi się opierać na chwiejnej podstawie dobrych chęci poszczególnych państw, a więc zawierając w powietrzu.

W ostatnich latach zaszła pewna ważna zmiana w prawie narodów. Holenderski jezuita, o. dr J. Kleynjans twierdzi, że przez ustanowienie trybunału norymberskiego zostało wprowadzone nowe międzynarodowe prawo publiczne, którym zajmowali się niektórzy od zakończenia pierwszej wojny światowej, kiedy żądano wydania byłego cesarza Wilhelma, jako zbrodniarza wojennego. Wtedy otwarto drogę możliwości, że obok państw również i pojedynczy ludzie zdobędą międzynarodową osobowość prawną. Przy obecnym stanie rzeczy, który zaistniał po podpisaniu Karty Narodów Zjednoczonych w San Francisco, powstał konflikt między różnymi zasadami ONZ. Choć ONZ obiecuje gwarancję zasadniczych praw człowieka, karta z San Francisco opiera się na wyłącznej międzynarodowej osobowości państw. Art. 34 statutu Trybunału Sprawiedliwości Międzynarodowej mówi: *Seuls les Etats ont qualité de partie* w Karle państwo stanowi instancję pośrednią między jednostką a społecznością międzynarodową.

Norymberga powołała do życia nowe prawo, choć zamiast o trybunał lepiej by było mówić za o. Kleynjans o widowsku pod tytułem „Vae victis!” Milczenie po minięciu Katyń, a kto wie, czy i bombardowanie ludności cywilnej nie powinno tam być omówione.

Trybunał norymberski nie jest jedyną jaskółką uznawania międzynarodowej osobowości prawnej jednostki. Dalszym ciągiem tej nowej zasady prawnej jest Konwencja o Ludobójstwie, choć nie została ona wyposażona w sąd międzynarodowy. Zasada ona została w niej wyrażona w następujący sposób: „Każde podlegające o s o b y praworządnych władców urzędników publicznych lub jednostek prywatnych, które popełniają ludobójstwo, bezpośrednio i otwarcie do niego zachęcają, usiłują popełnić ludobójstwo, lub są w nim współwinni!”

Nadanie jednostkom międzynarodowej osobowości prawnej jest wysocyteż żądane, aby nacisk na osoby mógł zastąpić nacisk na państwo.

stwa, gdyż nacisk na państwo równa się prawie zawsze wojnie. Problem, jak zapobiec naciskowi na państwa przez wywieranie nacisku na jednostki, jest zamknięty w problemie, jak ograniczyć suwerenność bez niszczenia władzy. Z drugiej strony nie wolno przeczyć problemowi, jakie by miały być normy, określające prawa i obowiązki jednostek. Trzecim problemem jest, kto miałby normy ustalać i czuwać nad ich zastosowaniem w życiu.

ONZ do żadnej z tych funkcji

## DOKTORAT KAPELANA 2 KORPUSU

Dowiadujemy się od naszego korespondenta z Rzymu, że 16 czerwca zdobył stopień doktora teologii na Uniwersytecie Gregoriańskim ks. Jan Lisowski. Jest on pierwszym w przeciągu czterech wieków istnienia tej uczelni studentem, który nie zdawał egzaminów ustnie, lecz składał je piśmiennie i to poczynając od zwykłych egzaminów akademickich a kończąc na obronie tezy.

Ks. Lisowski jeszcze jako klerik został w r. 1936 wysłany przez swego ordynariusza, biskupa przemyskiego, na studia teologiczne do Rzymu. Wojna zaskoczyła go na wakacjach w rodzinnym powiecie borysławskim. Przerwane wówczas studia dookończył dopiero po jedenastu latach przerwy wojennej, przemierzając kilkanaście tysięcy kilometrów w powrotnym itinerarium do Wiecznego Miasta. Wywieziony bowiem do Rosji najpierw pracował w łagrach leśnych, a potem jako kapelan rozpoczął z 2 Korpusem wędrowkę z Turcji do Palestyny. Od Monte Cassino do Rzymu jest niedaleko, lecz ks. Lisowski przebył tę trasę przez Anglię. W czasie walk, spiesząc samorządnie z Ostatnimi Sakramentami do ranego żołnierza, został trafiony odłamkiem pocisku artyleryjskiego. Utraconą szcękę przy-

się nie nadaje. Mając usta pełne „the dignity and worth of the human person”, stała się stróżem bezprawia oraz deptania tejże samej „dignity and worth”. Wydaje się, że międzynarodowe prawo publiczne, dopuszczające osobowość prawną jednostki nie będzie wiele więcej warte od międzynarodowego prawa publicznego, opartego na wyjątkowej osobowości prawnej państw, dopóki państwa nie zrezygnują z części suwerenności i dopóki nie zechcą stosować jedynie słusznego, absolutnego prawa Bożego.

W odległych czasach społeczeństwo stanowiło rodzinę i miało charakter patriarchalny. Ojciec miał nieograniczoną władzę nad swoimi dziećmi, żoną, żonami synów itd. Znałe były wówczas umowy między rodami. Umowy te nosiły charakter prawa narodów, ius gentium. Z czasem ustrój patriarchalny zanikł, a umowy międzynarodowe stały się zwykłymi kontraktami, (zwycajowe) prawo o stosunkach międzynarodowych — prawem cywilnym.

Czy nie zaczyna się czas, w których znika suwerenne państwa, dotychczasowe paki i trakty staną się kontraktami prywatno-prawnymi a dotychczasowe prawo narodów — prawem cywilnym?

Marian Albiński

wrócono mu w bardzo wielu ciężkich operacjach plastycznych w ciągu czteroletniego pobytu w szpitalach angielskich.

Do grona księży studentów w Instytucie Polskim przyjechał przed 2 laty młody, niekiedy psychicznie swymi niełatwymi przeżyciami. Pełen radości życia i dynamizmu, gorliwy kapłan, niezmierny student z zakresu zainteresowań humanistycznych, samodzielnie myślenia, pasji w dociekaniach teologicznych i dyskusjach akademickich i praktycznych. Podwójny laureat, spod Monte Cassino i z Gregorianum, jest znany Czytelnikom ZYCIA z szeregu artykułów. Pisze również o „Duszpasterza Polskiego Zagranicą”. Dobra znajomość angielskiego pozwoli mu pisać w doświadczeniach naukowych międzynarodowych. Ks. dr Lisowski zamierza się specjalizować w studium apologetycznym teologii angielskiej, której doktryna o pokucie była tematem jego pracy doktorskiej.

J. M.

Ksiedzu Doktorowi J. Lisowskiemu składamy serdeczne gratulacje wraz z życzeniami dalszych sukcesów na obranej drodze naukowej.

Redakcja ZYCIA

# Z K R A J U

Polska delegacja powróciła z Korei, przywoząc „wstrząsające” opisy okrucieństw „imperialistów”, oraz ich całkowite zasłużonych „ogromnych strat”.

„Narodowa Pożyczka Rozwoju Sił Polskich” została rozpisana w dniu 19 czerwca br. Dekret o rozpisaniu pożyczki ukazał się w dniu 18. 6. 51. Ma ona przyczynić się do szybkiego rozwoju gospodarczego oraz do odbudowy i rozbudowy Kraju. Ks. biskup Z. Choromański wezwał w imieniu Episkopatu duchowieństwo „do osobistego udziału w subskrypcji oraz do oddziaływania na wierznych przez swój wychowawczy wpływ”.

W Parku Łazienkowskim w „Teatrze na wyspie” odbywały się wykłady pod gołym niebem.

Ks. infułat Wróblewski, zasłużony kapłan — wychowawca i opiekun dzieci, zmarł w Częstochowie w wieku lat 84, w 62 roku kapłanstwa.

Tadeusz Bocheński, znany speker radiowy, obchodził 25-lecie swej pracy w radio. Uroczystość jubileuszowa odbyła się w Teatrze Narodowym w Warszawie.

Festiwal sztuki p.n. „Dni Krakowa” otwarty został w dniu 2 ub. m.

Absolwenci Państwowej Szkoły Cyrkowej w Warszawie wystąpili z programem cyrkowym w Krakowie. Z afiszów cyrkowych zniknęły już takie nazwiska jak „Galoppini” czy „Bambo Wango”. Pogromca lwów nazywa się po prostu — Wawrzyński.

„Broń na sprzedaż”, powieść Grahama Greene’a, napisana w r. 1936 ukazała się w Kraju nakładem wydawnictwa „Pax”, w ilości 10 tys. egzemplarzy, w przekładzie Andrei Tonchu-Ru.

Czterech mężczyzn uciekło ostatnio z Kraju drogą powietrzną. Dwóch ukryło się w ogonie samolotu pasażerskiego za ścianką, którą przysrubowano na lotnisku w Kraju. Pozostałych dwóch, to b. podoficerowie lotnictwa polskiego w RAF-ie; uciekli do Bawarii na starym czwobębny samolocie sowieckim.

Prasa komunistyczna nieśmiało wspomina Miłozę, który niedawno odmówił powrotu do Kraju, jako „byłego polskiego poe”te”. Za to zbiorowo związki sportowe potępiają Wł. Skoneckiego, polskiego tenisistę, który nie wrócił ze swą ekipą z zawodów w Szwajcarii.

„Grzech”, dotyczący nigdy nie wystawiona sztuka Żeromskiego, wstąpiła na sceny i zapewne do repertuaru polskiego. Krytyka krajowa stwierdza, że przeróbka i uzupełnienie tego dramatu dokonane przez Leona Kruczkowskiego na ogół się nie udało. Dramat jest zupełnie niejednoznaczny i od razu jest widoczne, co pisarz Żeromski a co dodał Kruczkowski.

„Rada ministrów” ustanowiła państwowe nagrody za osiągnięcia w dziedzinie nauki, postępu technicznego i sztuki. Nagrody przyznawane będą co roku w dn. 22 lipca (tzw. „święto narodowe”) w wysokości: I stopień, 25.000 zł; II stopień, 20.000 zł; III stopień 10.000 zł.

Skrzypka Umińska, znana polska artystka, powróciła do Kraju z tournée po zachodnich Niemczech.

Krakowska rozgłośnia radiowa ogłosiła konkurs literacki na studencko-lub opowiadanie, „związane tematycznie z zagadnieniami planu 6-letniego i przemianami społeczno-gospodarczymi w południowym regionie kraju”.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z felletonem p. Jana Bielawicza p.t. „Ideologia „Lepków” w nr. 21 (205) ZYCIA, niech mi wolno będzie zauważyć co następuje:

Wśród wielu, częściowo słusznych uwag zawartych w tym artykule, słusznych zwłaszcza tam gdzie autor rozprawia się z nieznośnymi przejawami i przeroskami polskiego snobizmu emigracyjnego, są twierdzenia, oparte nie na doświadczeniach, ale na domysłach, rośniętych z podłoża, co niesprawdliwie. W połączeniu z tendencją do popularnego u nas przejawiania i generalizowania faktów daje to w sumie obraz niecisły i krzywdzący, który wprawdzie może sprawić przyjemność temu lub omemu z naszych „przyjaciół” na Wschodzie i Zachodzie, musi jednak wzbudzić zastrzeżenia wśród wielu Polaków, niekoniernie tylko „żyjących urojeniami”.

Ograniczony miejscem, nie mogę niestety zająć się całością rozważań autora „Lepków” i muszę poprzestać na kilku ważniejszych punktach:

1. W swojej walce z „narodową chorobą polską”, jaką według p. Bielawicza jest pycha, „utożsamienie honoru z butą”, „pokrycie płótnem frazesu pustki umysłu i próchna charakteru”, wybacza on nawet dzieło przezw. obowiązującej Konstytucji. Nie podoba się p. Bielawiczuwemu zaznaczenie w niej odpowiedzialności „Prezydenta przed Bogiem i historią”. Dopatrzyłem się w tych słowach „grzyba pychy”.

Myszę, wbrew p. Bielawiczuwemu, że słowa te są na miejscu i w czasie. Myszę, że gdyby Głowy wszystkich państw, tak jak niestety nie jest, poczuwały się do odpowiedzialności wobec Boga i historii, dzieje ostatnich lat kilkunastu wyglądałyby inaczej.

Wspomniane słowa mają zresztą w duszy polskiej oddźwięk specjalny. Przypominają inne słowa, kiedyś wyrażone: „Bóg mi powierzył honor Polaków, Bogu go tylko oddam”.

Dla p. Bielawicza i one może są tylko świadectwem „purpurowej pychy polskiej”, przecież dla ogromnej większości Polaków dźwięczą tonem spłówym — tonem, którego tak łaknie tęskniaka i dążąca do wielkości — czy to się p. Bielawiczuwemu podoba, czy nie — duża polska.

2. O „zasępionych pychą” wozdach i przywódcach, politykach i publicystach nie będę się rozpisywał. Byli i są z pewnością tacy, byli i są także inni. Zwłaszcza wśród filmów sowieckich.

### NOWE KSIĄŻKI

Mieczysław Jastrun: ROK URODZAJU, Warszawa 1950, Książka i Wiedza, str. 74. Nowy tomic poemat Jastruna, czwarty po wojnie, zawiera elementy jego poprzednich stylów poetyckich, ale równocześnie Jastrun sygnalizuje nowe poszukiwania. Wiersze są nierównie formą, treścią i poziomem. „Wachlarz tematyczny rozszerzył (on) na takie motywy jak walka o pokój, współzawodnictwo pracy itp.”.

Bodo Uhse: LUSTRO i inne opowiadania, tłum. z niem. Gabriela Mיעielska, Czytelnik 1950, str. 142. B. Uhse, nowy pisarz niemiecki, zajmuje się z wielokim indywidualizmem. Pomimo pewnych wątków konstrukcyjnych jest to wartościowy zbiorek świeżej prozy.

Julian Podski: SEWER SZUKA SKARB, Ilustrowana powieść dla młodzieży, Warszawa 1950, Biblioteka Polska, str. 220. Fabuła, opierająca się na poszukiwaniach 14-letniego Sewera skarbu-rudy łaźnej jest ciekawa, napisana z dziennikarską żyłką. Niestety psychologiczne uproszczenia bardzo obniżają wartość książki.

PISARZE W WALCE O POKÓJ, antologia poezji, Warszawa 1950, Książka i Wiedza, str. 257; SZTAFETA POKOJU, antologia poezji, Warszawa 1950, PIW, str. 385. Na dwie te antologie składają się wiersze pisarzy — komunistów całego świata. Oczywiście w obydwu antologiach wybitne miejsce zajmuje poezja narodów Związku Radzieckiego.

publicystów pycha grasuje w nie-małym stopniu, coż kiedy nie zawsze dostrzega się żdźbio we własnym oku...

3. W oczach p. Bielawicza nie znalazła uznania i armia polska, jako że „pycha nasza najchętniej stroi się w rogatywkę”.

Naprząd komplement, „Polacy oczywiście potrafili się znakomicie bić”. Potem słuszne stwierdzenie „ale bić się to wcale nie znaczy dać się zabić”.

Bravissimo! Myszę jednak, że nie należy słusznie będzie pytanie z mojej strony: czy np. bitwa warszawska z roku 1920 — „18-ta dekadująca bitwa w dziejach świata”, jak nazwał ją nie „pyszny” Polak lecz „skromny” Anglik, była zaprzeczeniem sztuki wojennej, która — jak znów słusznie stwierdza p. Bielawiczuwemu — „polegała na tym, jak wygrać wojnę a nie jak ponieść, choćby z wielkim honorem, klęskę”? Czy bitwa pod Monte Cassino była też „raczej udziałem w poświęceniu, w ofierze niż w sztuce wojennej” itd.?

4. Nasz stosunek do obcych. P. Bielawiczuwemu ubolewa, że „skutkiem pychy mamy niewiele prawdziwych przyjaciół w świecie”.

Anglików — ten najdumniejszy naród — ma raczej polska duma. Myszę, że rażą ich raczej inne cechy naszego charakteru, właściwość obce ich mentalności, jak nasza rycerskość, nasza uczuciowość, nasza niechęć do kompromisów, a przede wszystkim — nasz katolicyzm. Inny też jest do nas stosunek Anglików-katolików, wśród których mamy wielu przyjaciół.

Czechów „nie lubimy” nie dlatego, że są „zaprzeczeniem naszego pysznego charakteru”, lecz że wbił nam nóż w plecy na Śląsku Cieszyńskim w zaraniu naszej niepodległości, że sabotowali transporty z bronią i amunicją w naszych krwawych zmaganiach się z bolszewikami w roku 1920, że politycy czeszy, z wrogiem Nr 1 narodu polskiego, Benesem na czele, rozdzielili nam gdzie i jak mogli naród międzynarodowym.

Dlatego ten nasz rzekomo „pyszny charakter” nie przejawia się np. w stosunku do Węgrów, z którymi łączy nas od wieków tyle wzajemnych węzłów prawdziwej przyjaźni i braterstwa, opartych na zasadzie „wolni z wolnymi, równi z równymi”?

Jeżeli chodzi o niektóre inne narody, np. Anglosasów, to niestety, należało by raczej mówić o przejawiającym się tu i ówdzie czymś w rodzaju kompleksu niższości, snobowania się na nich. Nie wiem jak p. Bielawiczuwemu, ale ja osobście uważam ten przejaw za bardziej paskudny i godny potępienia, niż owa rzekoma pycha polska.

Wobec Rosji zaś, do której (nie do komunizmu) stosunek Polaków, używając słów p. Bielawicza, jest „najbardziej jaskrawym przykładem naszej pychy”, ów kompleks niższości, o którym mówiłem wyżej, uważałbym — czy to jest, czy nie jest dziełem pychy — wręcz za katastrofę narodową, za coś, co nas może spotkać, gdyby rządy dzisiejszego reżymu w Polsce miały trwać jeszcze przez czas dłuższy.

5. Nasz stosunek do Rosji. Wyodrębniam to zagadnienie ponieważ p. Bielawiczuwemu wysuwa je jako nacieczną kolubrynę w swym artykule na okopy pychy polskiej.

Nie jest prawdą, że każdy Polak — do porządku przejdzie nad dokonaniai technicznymi, wynalazkami, nauką, literaturą, muzyką Rosjan” (przy czym nie jest bynajmniej — jak twierdzi p. Bielawiczuwemu — „jasne, że sztuki te kwitną w Rosji mimo komunizmu”). Jeżeli kwitną, to są niedźmiernym kwiatem na pięknej mogile!...

Zaden Polak inteligentny nie neguje faktu, że naród rosyjski należy, wprawdzie może nie do „najbardziej uzdolnionych na kuli ziemskiej” — znów słowa p. Bielawicza — lecz do niewątpliwie zdolnych.

Ale nasuwa się pytanie, przekraczające ramy tej wypowiedzi będące polem do szerszej dyskusji: czy naród rosyjski, będąc narodem kulturalnym, jest równocześnie narodem c y w i l i z a c y j n y m ?

Czy może być w Europie cywilizowany naród, nie wyrosły z wspólnego innym narodom „pnia humanitaryzmu zachodnio-europejskiego, kwiącego korzeniami w antycznej kulturze grecko-rzymskiej — naród, który w ciągu długich wieków „iga” napród mongolskiego, wreszcie bolszewickiego, nie skapał się ani na chwile w stożek prawdziwej wolności, smażąc się tylko w bizantyjskim sosie

### LISTY DO REDAKCJI

nacjonalizmu i prawosławia, będąc od stu kilkudziesięciu lat (nie tylko jego warstwy rządzące — trzeba to mocno podkreślić!) katem narodów i mordercą ich wolności!...

I pytam się p. Bielawicza: jak-by dziś wyglądał naród polski, gdyby zamiast owego — słusznego — niesłusznego — poczucia swojej wyższości cywilizacyjnej, owego wyhodowanego przez mękę i ofiarę pokoleń nienawistnego odporu i rozpaczywiej samoobrony, uległ czarom i pokusom szerokiej natury rosyjskiej i urzejkajkiej, ale jakże niezdrowej i niebezpiecznej dla duszy polskiej — literatury rosyjskiej, usmażył się w owym bizantyjskim sosie, rozplynął w morzu rosyjskim, jak pędzieli — niektórzy osobiste sympatycy i szlachetni — stowianofili rosyjscy?...

Zdrowy instykt narodu, duch plemienny rasy polskiej, kulminujący w polskich walkach o wolność obronyi nas i uchroniły przed tą zgubą i klęską, a w Bogu nadzieja, że ochronią nas i w przyszłości!

Jakkolwiek by więc i choćby nieraz słusznie gromił p. Bielawiczuwemu przeciw „naszej” w stosunku do Rosji, nie zmieni to faktu, że ja osobście, a myszę, że nie ja jeden, — z dwójga złego wole naszego poczciwego kmiotka czy inteligenta, który dwuręce sobie z „głupiego kaczapa”, głęboko przekonany o swojej nad nim wyższości (co to komu szkodzi?... w Kraju chyba tylko jemu samemu) — wole to, powtarzam, niż jakiegos pisarza czy uczonego polskiego, lizającego buty temuż kaczapowi w dzisiejszej Polsce — lub bilozuczowatego efebapieknoducha na emigracji, deklamującego z patosem o „Nowej Wierze”, jak to czyni święty „wyborca wolności”, p. Czesław Miłozę na łamach paryskiej „Kultury”.

Oczywiście, jedno i drugie nie jest stosunkiem normalnym, jakim winien być stosunek narodu do narodu i jakiego z pewnością pragnęlibyśmy i z Rosją.

Jednakże wiele wody upłynie jeszcze w Wisłę, wiele zła i niesprawiedliwości musi być wyrównane na świecie, wiele zmian zająć w psychice rosyjskiej, zanim tego rodzaju stosunek będzie możliwy, zanim Moskwa przestanie być odwiecznym i śmiertelnym zagrożeniem bytu narodowego Polski i Polak będzie mógł bezpiecznie rzucić się w ramiona Rosjanina, czerpać pełną garścią ze skarbcza kultury rosyjskiej.

6. Streszczam się. — Owszem należy walczyć z niemądrą wybujałościami pychy, ale nie utożsamiać jej ze zdrową i słuszną dumą narodową, będącą często głosem instynktu plemiennego, uczuciem i poczuciem, bez których naród nie wart jest nazwy narodu. Walczmy z pychą ale tępy także wszelkiego rodzaju chwały kompleksu niższości, lizusostwa, niewiarę w siebie i swój naród, wszelkich „esmanów”, antyszambrowców, „ap-peaseersów”, efebów politycznych i snobów literackich.

Przed wszystkim zaś tępy rozpalony żelazem najwięcej zło, jakie tkwi w nas samych i które jest przekleństwem naszego narodu: od niezrozumiały dla obcych kompleks zagadkowy duszy polskiej, który nazywałby kompleksem wzajemnej niechęci, jeżeli nie wrogości, podeirliwości i zadróżności. Zatruta na nasze życie społeczne i polityczne, sprawia, że czasem nawet pisarze, którzy czesto-godnie mówią i piszą o swoich uczuciach chrześcijańskich, podkreślają swój katolicyzm — ci sami ludzie, miast zwykłej ludzkiej żywciości, bezstronności i sprawiedliwości co bynajmniej nie wyłącza ostrego i celnego sadu czy oceny. — nurzają plóra w żółci zatrutej wiatrow, dając upust jakiejś ponurej żłośliwości, jaktns drzemającym w podświadomości sadystycznym instyktom.

Niby Zeus olimpijski, ciskając gromy na głowy niesympatycznych sobie grup środowisk czy osób — grupy apodyktycznych sądów i bezapelacyjnych wyroków. To jest dopiero pycha, pycha ścią szatan-ska!

I patrzam na to żalose widowisko, żalste, chciałoby się niekiedy zawałać: medice cura te ipsum!... Z prośbą o łaskawe uwieszczenie tych skromnych uwag, łacze należne wyrazy

Józef Relidziński

\*) Niestawna rolę odegrała tu w niejednym wypadku rosyjska literatura i publicystyka (przyj. aut.).

STANISŁAW KASZNICA  
**ROZWAŻANIA**  
wyd. 3-le  
str. 160  
Cena 6/-, z przesyłką 6/6  
Do nabycia w  
Kat. Ośr. Wyd.  
„VERITAS”  
12, Praed Mews,  
London, W. 2.

ZYCIE Katolicki Tygodnik Religijno-Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres redakcji i administracji: Polish Weekly, ZYCIE, 12, Praed Mews, London W.2. Telefon: Redakcja i Administracja: AMB 6879, Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji. Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po pol. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcjażądać rekwizytów nie zwraća. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. P R E N U M E R A T A i P a t r i a jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekać bankowymi „c o r s e d” (/ /), wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: I cal przez 1 lam — E 1; w t e k s c i e 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Prenumerata zagranicą: ARGENTYNA: cena i egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półroczn. 52 pesos. Przedstawicielstwo: „Libreria Polaca”, Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA: miesięcznie 30 frs, kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: Zbigniew Wróbel, 48, rue d'Irlande, Bruxelles, St. Gilles — FRANCJA: miesięcznie 180 frs, kwartalnie 540 frs. Przedstawicielstwo „Libella”, Librairie, 12, rue St. Louis en l'Íle, Paris IV-ème. — NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM., kwartalnie 7.00 DM. Przedstawicielstwo mają: „Informacja Prasowa”, (33) Quakenbrück, Schiphorst 2, i „Sztetogarnia „Wiedza”, Schwandorf/Bayern, Bahnhofstrasse 19. SZWAJCARIA: miesięcznie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P. K. S. U. Veritas, Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2. — SZWECJA: miesięcznie 5.50 kr., kwart. 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski, Angatan 6c Lund, Sverige. Szweden. — U.S.A.: — kwartalnie pocztą zwykłą 2 dol., pocztą lotniczą 5 dol. Przedstawiciele: 1) Antoni Stojanowski, 10, East 18th Street, Bayonne, N.J. 2) Gryf Publication, 808, Wager St. Utica, 3) E. Baginski, 3690 Helen Avenue, Detroit 7, Michigan, 4) St. Palczewski, 1079 N. Marshfield, Chicago 33, Illinois.